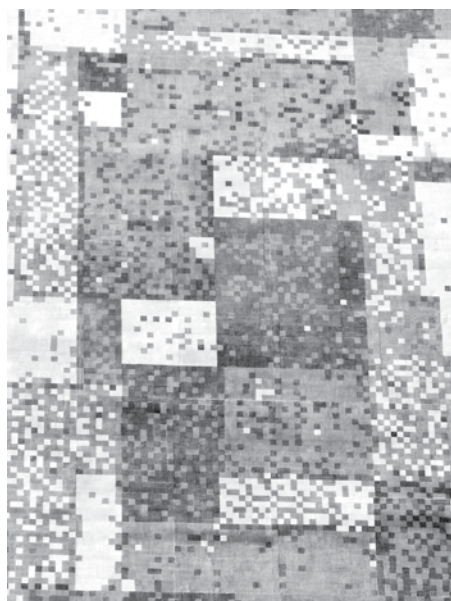


Marta Wyka Grupa Biprostal



Byla fantazmatem i pozostała nim. Jej widmowy charakter nie jest jednak ponury, bo choć istniała tylko w wyobraźni, zachowała obietnicę przyszłej opowieści pogodnej.

W latach mojego dzieciństwa Kraków kończył się po przekroczeniu linii Alei, dalej rozciągały się tereny zupełnie inne, dziś nieistniejące. W pobliżu ulicy Nowowiejskiej, czyli w okolicy biurowca Biprostalu, były uprawy warzywne: pod dzisiejszymi domami „nad Pewexem” (też

byłym) rosło okazałe pole kapusty, białej i czerwonej, a właściwie fioletowej. Można było ją kupować wprost od ogrodników, co robiła moja mama, a może babcia. Na równoległej ulicy Kazimierza Wielkiego stały parterowe domki z ciemnego drewna. Ich stopniowa rozbiórka zaczęła się bodaj w latach 50., wraz z początkiem modernizacji tamtych okolic. Dzielnica dojrzywała powoli do swojego wieżowca. Ulica, przy której stoi przez wiele lat, nosiła nazwę 18 Stycznia. Zastanawiam się, dlaczego ta nazwa okazała się aż tak niewygodna w nowej Polsce: to data wyzwolenia Krakowa (tak się wówczas mówiło) przez armię generała Koniewa. Jakby nie było, dzień się nie zmienił, a że wyzwolenie okazało się fatalne, to rzecz inna.

Dzisiaj ulica nazywa się Królewska. Nie prowadzi co prawda w stronę Wawelu, ale brzmi zapewne lepiej.

Wiejska okolica przemieniała się powoli w miasto, dość nijakie co prawda, ale nowe i inne; powstawały bloki, niewysokie jeszcze, w tych blokach zaczęli się osiedlać inteligenci, co zapewne wynikało z rytmu przydziałów mieszkaniowych; dzielnica nigdy nie wzbogaciła się o własny styl, i tak miało już pozostać. Ale była lubiana, i dalej tutaj mieszkamy, choć pozostało nas już niewiele.

W biografii Wisławy Szymborskiej (Bikont i Szczęsnej) przypomniła o tym epizodzie mieszkaniowym Basia Czalczyńska, pisarka i tłumaczka, mieszkanka ulicy Karłowicza położonej tuż przy parku krakowskim. Na ulicy Karłowicza mieszka jeszcze Ewa Lipska, ale to są już ostatnie dni jej mieszkania tam, bo Ewa przeprowadza się na inną ulicę w tej samej dzielnicy, bliżej jednak centrum. Ewa jest

najbardziej ruchliwą mieszkanką dzielnicy, wędruje od ulicy Czepca przez ulicę Zbrojów, coraz bliżej ulicy Karmelickej; wycofuje się z serca dzielnicy; i ja się przed laty z niego wycofałam, choć mój obecny dom stał na skraju dzielnicy już przed wojną.

Na zachowanym zdjęciu wymyślonej grupy stoją: Ewa Lipska, Barbara Czałczyńska, Wisława Szymborska, Kornel Filipowicz, i po znajomości – Adam Włodek, bo mieszkał w zupełnie innej części Krakowa. Nie ma na tej fotografii Joanny Salamon, poetki i lekarzki, choć też osiedliła się w pobliżu, przy ulicy Chocimskiej – tam, gdzie potem przeniosła się Wisława. Kornel, zadawniony mieszkaniec dzielnicy, niechętnie wymieniał kompromitującą nazwę swojej ulicy, czyli Dzierżyńskiego, teraz przywróconą do łask jako dawna ulica Juliusza Lea. Itinerarium Wisławy prowadziło od dostojnej ulicy Radziwiłłowskiej, gdzie znajdował się jej dom rodzinny, przez artystyczną ulicę Krupniczą z numerem 22, który miał stać się sławny, ale go już nie ma, w stronę własnej szuflady na Nowowiejskiej, ku Chocimskiej z drzewem za oknem i czwartym piętrem bez windy, aż po ostatnią Piastowską, pozabawioną cech miejskich i łączącą Królewską z Błoniami.

Grupa, choć nie odnotowuje jej żadna historia literatury, była twórcza. I przeniósł ją miły prąd zabawy, spotkań nieprzewidzianych; nie wysiłała się medialnie, bo szczęśliwie mediów – w dzisiejszej postaci – nie było; ceniło się niewielkie (albo i wielkie) szaleństwo, pielęgnowało własne dziwactwa, w które nikt się nie wtrącał, oglądało czasem przez szybę dostojną ekspozycję sklepu Pewex – bez żalu, bez

tęsknoty za nieosiągalnym, niekoniecznie potrzebnym, choć niech sobie będzie...

Najbardziej szalona była Joanna (nie ma jej na zdjęciu), która już zerwała definitywnie z ftyzjatrią i zaczęła pisać swoje książki o Kochanowskim, Mickiewiczu, Herbercie, Gombrowiczu i Wisławie. Numerologia, która ją pasjonowała, nie była jeszcze modna, próbowała do niej zachęcić nawet Miłozza (w Ameryce), ale Miłozz był nieprzejednany. Można o tym przeczytać w *Roku myśliwego*.

Ewa pisała wiersze na Zbrojów, Władzio, jej mąż, znakomity kierowca, uczył mnie prowadzić samochód, z czego nic nie wynikało.

Wisława nigdy nie mówiła, co pisze. W pobliżu bytował uczony Stanisław Balbus, pogrążony w kolejnej księdze, ale – w przerwach – pełen towarzyskiej werwy.

Do siebie było niedaleko i powstawało takie przekonanie, że grupa – choć taka mała – nigdy nie przestanie istnieć. Miało stać się inaczej i ta niewielka część społecznego życia uległa wymazaniu, bo organizmy społeczne są żywe, pojawiają się nowi ludzie, spoza dzielnicy (w różnych sensach) i oni nadają ton, pobudzają do innych zabaw i gier.

Wieżowiec za naszymi plecami nie zaprzętał uwagi; był częścią krajobrazu, jego ekspresywność wizualna była mniejsza niż wystawy sklepu Pewex.

Limeryki uprawiało niegdyś dwóch obscenicznych mistrzów: Słomczyński i Flaszen. Igraszki limeryczne Wisławy wydają się w porównaniu z nimi czytankami z dzieciennego pokoju. Mistrzów tych Wisława poznała wiele lat wcześniej, kiedy oni tkwili na jasnym horyzoncie krakowskich sław literackich, ona

jeszcze nie. Ich uczennica starała się omijać sprośności, zaś jej z kolei uczniowie osiągnęli w tym gatunku przede wszystkim wysokie sprawności retoryczne. Tyle, że duch czasu uleciał.

Grupę rozproszył stan wojenny – zmieniła się mentalna podstawa jej istnienia-nieistnienia, zaczęła się konspiracja na miarę tamtych lat; i bywało się u siebie jakby na innych zasadach, w innych proporcjach. Z Warszawy przyjeżdżali emisariusze i emisariuszki (Kazia Kijowska ze swoimi *Rozmowami kontrolowanymi*). I choć dalej wszyscy rozmawiali ze wszystkimi, to może nie o wszystkim. Joanna wyjechała na stypendium do Yowa City, a potem została w Holandii na wiele lat; Ewa przygotowywała się do Wiednia („jej część przednia – nie dojechała jeszcze z Wiednia” – pisała po latach Wisława); Basia była na miejscu, ale przestawała pisać i zwolna przemieniała się w pracownicę KIK-u; Kornel w konspiracji odgrywał rolę główną, a obok niego Wisława; tajny związek literatów przyjmował tajnie nowych członków, ale dalej grywaliśmy w fanty, nie tylko w loteryjkę. Kornel wspaniałomyślnie rzucał do gry szkice Jaremiarki, i tak, nie wiedząc jeszcze o tym, traciliśmy dawne ciało zbiorowe i zbliżał się zmierzch grupy.

Można by z tych okrucichów zrobić miejską legendę, łącząc zaczątki opowieści z historią dzielnicy. Co prawda w polskim myśleniu kulturowym urbanistyczna legenda nie zajmuje tak wyrazistego miejsca, jak u innych mieszkańców europejskich miast, ale zapewne będzie z biegiem lat spisywana.

Jest to tylko do pewnego stopnia opowieść, którą zaprojektowało życie w PRL-u, przede wszystkim w PRL-u schyłkowym.

Gdzie leży granica?

Gromadząc się, choć bez wyrachowania, w dzielnicy tak nie-krakowskiej, w dzielnicy dopiero kiełkującej, jej mieszkańcy odsuwali się od Krakowa mieszczańskiego, porzucając swoje zobowiązania wobec tamtej części miasta. Podgórze i Dębniki były, mimo wszystko, wygnaniem, jak z pani Dulskiej. Kazimierz jeszcze nie istniał – był zapomnianym fragmentem Krakowa, na poły wstydliwym. Wybrać się na Kazimierz to było jak zwiedzać inne miasto, ale miasto płaskie, bo jego wnętrze nie zostało jeszcze przypomniane.

Opuszczone synagogi, zniszczony cmentarz i handel mięsem na Placu Nowym. To wszystko.

Aleje w latach 30. wyznaczały początki nowej inteligencji (również profesorskiej). Więc istniał jakiś sygnał, dość wąty, który być może spowodował, że w naszych latach 60., kiedy budowano wieżowiec, powstawało miejsce dla wspólnoty; bez tradycji, bez secesji, bez martyrologii, miejsce nowe.

Nie wierzę w magię miejsc. Ale ich istnienie w opowieści o ludziach akceptuję. Powstawała jakaś historia, już zamknięta.

Niegdyśjsze gry i zabawy, czyli obyczaje artystów PRL-u, ustąpiły miejsca innym, nikt nie zapuszcza się w okolice ulicy Chocimskiej (choć podobno powstało tam przytulisko dla kotów...). Jeśli więc była to bohema drugiej połowy XX wieku, warto będzie niegdyś opisać jej obyczaje – nie tylko jej protesty, listy, podpisy, polityczne tajemnice.

Nie będę wymyślała dalszych wspomnień. Ten mały kawałek życia krakowskich pisarzy niech sobie pozostanie małym wycinkiem ich rzeczywistości.

Marta Wyka